

**MORAWSKA
ZUZANNA**

NA

ZGLISZCZACH

ZAKONU

Morawska Zuzanna

Na zgliszczach Zakonu

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23545298

Na zgliszczach Zakonu:

Аннотация

Na zgliszczach zakonu to powieść historyczna Zuzanny Morawskiej, której wydarzenia rozgrywają się w XV wieku. Autorka przedstawia starcie Wschodu, czyli Polski, Litwy, Żmudzi, z Zachodem, reprezentowanym przez Zakon Krzyżacki i Niemców. W powieści przedstawia jednak nie tylko realia związane z prowadzeniem działań wojennych, lecz także ukazuje codzienność i obyczajowość. W wyważony sposób przedstawia najważniejszych bohaterów bitew – zwraca uwagę zarówno na cechy świadczące o ich heroizmie i waleczności, jak i na słabości oraz skłonności do intryg, słowem, obrazuje ich dwa oblicza – oficjalne i codzienne. Morawska umieszcza w swojej powieści również bohaterów młodzieżowych, by historyczną rzeczywistość uczynić bardziej przystępną młodszym czytelnikom. Zuzanna Morawska to polska pisarka tworząca na przełomie XIX i XX wieku. Zastąpiła przede wszystkim jako autorka powieści dla dzieci i młodzieży, często o tematyce historycznej. Na zgliszczach zakonu to jej dzieło z 1911 roku.

Содержание

Goście	4
Zawód	13
Uroczystość	23
Kobiałki z jagodami	32
Sala i Sienicha	45
W Bobrownikach	54
Конец ознакомительного фрагмента.	56

Zuzanna Morawska

Na zgliszczach Zakonu

Goście

Na malborskim zamku było bardzo ludno i gwarno jak chyba jeszcze nigdy od założenia tej wielkiej krzyżackiej siedziby. Cudzoziemskich rycerzy przybyła moc taka, że nie tylko Ulryk von Jungingen, mistrz Zakonu, od niedawna piastujący tę godność, ale najstarsi komturowie pamiętający rządy kilku już mistrzów, a też i braciszkwowie tak wielkiej liczby cudzoziemskich gości nie pamiętali. Nie pamiętali i pospolitaki, i knechty, chociaż od lat dziecięcych Zakonowi służyli.

– Musi będzie wojna – ozwał się Biber, jeden z najstarszych knechtów, zajmujący obecnie stanowisko setnika, to jest przełożonego nad dziesiątym podwórcem.

– Oo!?! – spytano go chórem ciekawie.

– Wojna, toć nie nowina – mruknął Fals, chłop młody, pociągając z wielkiej konwi cienkusz, którym się wszyscy po kolei raczyli.

– Jeno z lekka, z lekka, bo czy wojna, czy nie, ty ciągniesz tak, że dla drugich nie ostanie! – wołali inni, odciągając konew od chciwych ust Falsa.

Aż ten, nie mogąc podolać napastnikom, wypuścił

z rąk konew, ale nabranym w usta napojem parsknął na nich śmiechem, opryskując cienkim piwkiem jak rześnistym deszczem. A kiedy poszkodowani ocierali się rękawem, odgrażając, że mu nie darują, Fals, śmiejąc się, wołał:

– Jeszcze wam źle?! Od gębyście mi odjęli, a ja, żeby was nie uszkodzić, oddałem nawet to, co miałem w gębie!

Wtem dało się słyszeć gwałtowne kołatanie do głównej bramy i odgłos trąb oznajmujących nowych gości. Echo rozniosło je po podwórcach i przerwało zabawę knechtów. – Przybywają nowi goście – mruknął Biber.

Ten i ów nadstawił uszu, zapominając o konwi, Fals zaś, skorzystawszy z zajęcia się czym innym towarzyszy, pochwycił w ramiona wielką konew i usuwając się z nią sprzed oczu zaciekawionych, myślał:

„Nadstawiajcie uszu, a ja tymczasem nadstawię gębę”.

Tak myśląc, łykał chciwie napój, zdążając jednocześnie do furki prowadzącej na główny podwórzec.

I jego bowiem brała ciekawość, żeby zobaczyć nowo przybywających, nacieszyć się widokiem lśniących zbroi, rzędów na koniach i pokazać z dala pacholkom konew na dowód, że w murach zamkowych nie zbraknie im napitku.

Ciężkie wrzعیądze wielkiej bramy, przywykłe do kilkakrotnego w ostatnich dniach otwierania się dla przybywających, lekko, bez najmniejszego zgrzytu się rozwarły.

Lecz jakież było zdziwienie Falsa, gdy surmy witające zwykle nowo przybywających umilkły, a na podwórzec wjechało

kilkunastu zaledwie jezdných. Odziani byli bez najmniejszych ozdób, nie znamionujących dostojęństwa ani bogactwa przybyłych. Jedyną osobliwością wśród tego nielicznego pochtu był młodzieniaszek, najwyżej lat szesnastu, w połyskującej ciemną stalą półbroiczce, którego inni z wielką czcią i uszanowaniem otaczali.

– Iii, miałem też po co biec i jeszcze piastować konew, nie nacieszywszy się wprzódę jej zawartością – mruknął Fals.

To mówiąc stanął za rozwartą furtą podwórca, nachylił konew do ust szeroko rozwartych i łykał chciwie, jakby chciał wynagrodzić czas stracony.

Tak zaś był zajęty, że nie opatrzył się, gdy silna pięść spadła na jego plecy, a spadła tak potężnie, że aż zębami o wręby konwi zadzwonił i całą zawartość na siebie wylał. Stracił też równowagę i padł na odrzwia furty, a reszta nie dopitego cienkusa oblewała go rześiście.

– Żebyś się udławił! Żebyś nic nie miał w życiu, jeno ten ostatni łyk cienkiego piwa! – zawołał ten, który go tak po przyjacielsku przywitał. – Nie dość, że pije jak potwór morski, ale jeszcze sobie kąpiel z piwa urządza! – dodał z wielkim oburzeniem, zaglądając do wnętrza konwi.

Zostało w niej jeszcze kilka łyków, którymi nie pogardził przybyły i wiernie do ostatniej kropli wysączył. To zajęcie się przybysza smakowitym napitkiem pozwoliło Falsowi oprzytomnieć, zerwać się i strząsnąć z siebie ociekające piwo.

– I żeby tak marnować dary boskie – westchnął oglądając się,

kto go tak poczęstował. – Ba, nie kto inny, jeno ten kulas, Hilt – rzekł zbliżając się z podniesioną pięścią do pijącego.

Ale ten właśnie konew do szczętu wypróżnił, a obcierając dłonią usta, mówił:

– Nie z pięścią, lecz z wyciągniętą prawicą powinienes przyjść do mnie – ozwał się Hilt.

– Jak to? – spytał Fals, wytrzeszczając oczy.

– Przede wszystkim, żem ci przeszkodził w spełnieniu śmiertelnego grzechu, jakim jest łakomstwo i pijaństwo: po wtóre, żem cię uwolnił od konwi, za którą oglądają się w podwórku, a za którą zostałbyś przez Bibera wtrącony do ciemnicy co najmniej na cały dzień o suchej gębie.

– Biber się zestarzał...

– Zestarzał się, ale niemniej z piwem jest w zgodzie, a obowiązki przełożonego nader pilnie sprawuje – przerwał Hilt.

Fals poskrobał się w gęstą czuprynę i leniwym krokiem od furty odchodził.

– Cóż ten bestia myśli, że ja próżną konew będę za nim nosił? – mruknął miły towarzysz. Kopnął też z pogardą bezużyteczny sprzęt w tej chwili i krzyknął za odchodzącym: – Dokąd się wleciesz, dokąd?!

Fals udał, że nie słyszy, i szedł dalej. Hilt zaś, jakby mu nagle przyszła jakaś myśl szczęśliwa, uśmiechnął się i zabrał wżgardzoną konew. Szepnął też przy tym:

– Poczekaj, będziesz ty się miał z pyszna.

I kulejąc podążył za towarzyszem.

Wkrótce Fals stanął w drugim końcu dziesiątego podwórca, gdzie Biber powoli, nosowym, lecz donośnym głosem wykladał coś knechtom. Musiało to być coś bardzo ciekawego, bo wszyscy, porzuciwszy czyszczenie zardzewiałej broni, słuchali z wytrzeszczonymi oczami i otwartymi usty¹.

„Dobra nasza – pomyślał Fals – nie spostrzegli, żem odszedł, a co więcej, żem zabrał prawie pełną konew”.

Tak myśląc, podniósł olbrzymi miecz, a wzięwszy w garść ubity włosień, udawał, że był zajęty czyszczeniem.

Ten zaś mówił:

– Wojna się szykuje, jakiej dotąd ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało...

– Ale z kim? Z kim? – ozwały się głosy.

– Ciemni jesteście jak konew winem napełniona – oburzył się setnik. – Toć nie z kim innym, jeno z Polską.

– A przecież powiadaliście niedawno, że zawarto z nią pokój – ozwał się Hilt, który zdążył przybyć na ostatnie Bibera wyrazy.

– Głupiś – huknął tenże. – Pokój jest dlatego, żeby nowych sił nabrać i rozpatrzeć się, co dalej czynić, nie zaś dlatego, żeby go utrzymać.

– A czy to w onej Polsce są pogany²? – ozwał się któryś z młodszych knechtów.

– Widzieliście głupiego! – zaśmiał się Biber. – Czy ty ksiądz, żebyś się pytał, czy pogany, czy chrześcijany? – mówił dalej.

¹ *usty* – dziś popr. forma: *ustami*. [przypis edytorski]

² *pogany* – dziś popr. forma: *poganie*. [przypis edytorski]

– Przecie tu nie o chrześcijaństwo chodzi, ale o rozszerzenie granic i potęgę naszego zakonu – mówił z pewną wyższością setnik. – Gdy pokonamy Polskę, tego ich króla Jagiełłę, Litwina, co rozsiadł się na tronie polskim i bruździ we wszystkim, to i z Litwą, i Żmudzią łatwo się będzie uporać. Ba, i tamte het, kraje dalej będą do nas należeć – mówił Biber z taką pewnością, jak gdyby najtajniejsze sprawy Zakonu były mu dokładnie wiadome.

Puszył się też z tych swoich wiadomości, jakby co najmniej był poufny wielkiego mistrza i na naradach zasiadał. Był ci on wprawdzie ulubieńcem wielkiego mistrza, Ulryka von Jungingena, i będąc w jego służbie podczas oględzin ziem zajętych, przysłuchiwał się rozmowom i stąd ta jego pewność i opowiadanie.

Przysłuchiwano się też opowiadaniom, każdy jakieś wtrącił słówko, korzystając z łaskawości setnika, jeden tylko młody, dziarski knecht, zwany Jakubem, nie wtrącił ani słówka.

Wśluchiwał się wszakże ciekawie i twarz rozognioną i oczy błyszczące na mówiącego podnosił.

I Fals wśluchiwał się jak inni. Otworzył nawet usta, bo i jego to opowiadanie zaciekawiło. Nagle pociemniało mu w oczach, uczuł ciężar na głowie, ale jednocześnie wchłonał w siebie ulubiony zapach piwa.

Śmiech się rozległ dokoła, śmiech podobny do dzikich bestii, gdy znajdują się nad cielskiem upolowanej ofiary i radość swą rykiem objawiają.

Jeden Biber się nie śmiał, a powiódłszy zgorszonym okiem, szukał przyczyny tej nagłej wesołości. Postrzegł też zaraz sterczącą do góry dnem konew na głowie Falsa i z całej siły krzyknął:

– *Tausend Teufel*³! Dawajcie mi tego łotra!

Fals, uczuwszy na głowie ciężar i woń przyjemną, domyślił się, że to Hilt tak mu się przysłużył. Usłyszawszy zaś śmiech, nie czekał, aż się przyczyna onego wykryje, jeno schwycił ze swojej głowy konew i wtłoczył ją z nadzwyczajną szybkością na głowę najbliższego towarzysza. Ten uczynił to samo sąsiadowi, który ustroił nią drugiego, i tak dalej, i dalej. Konew przechodziła z jednej głowy na drugą. Śmiech wzrastał, dowcipy i przekleństwa jak grad leciały, a Biber wśród ogólnego zamieszania nie mógł dojść, kto był pierwszym sprawcą urządzonej naprędce krotochwili. Aż przyłapał w końcu Hilta, który śmiejąc się wraz z innymi, ani spostrzegł, gdy go w ten niezwykły hełm ustrojono.

– To wtedy gdy ja opowiadam o wielkości naszego zakonu, ty mi będziesz wychylał piwo przeznaczone dla wszystkich i stroił się w pustą konew?! – wrzeszczał na całe gardło przełożony dziesiątego podwórca, płazując plecy Hilta zardzewiałym, złamanym mieczem.

Hilt, oswobodzony z przygodnego hełmu, sumitował się, że ani łyka piwa nie wypił i zgoła nie wie, kto go w konew ustroił, ale Biber nie słuchał jego wymówek, jeno wyplązowawszy

³ *Tausend Teufel* (niem.) – tysiąc diabłów. [przypis edytorski]

doskonałe, zagroził:

– Jak mi raz jeszcze nie będziesz pilnował służby, jeno uganiał się za konwią i żarty stroił, pójdiesz na cały dzień do ciemnicy o suchej gębie.

Fals tymczasem z najzimniejszą krwią rozpowiadał:

– Wzięła mnie taka ciekawość, gdym usłyszał gwałtowne kołatanie do głównej bramy, żem chyłkiem podsunął się do furty.

– I cóż? I cóż? – zapytano dokoła.

– Iii... Nie warto było zachodu – odrzekł z lekceważeniem.

– No?

– Ani my uciechy, ani tamci pożytku z przybyłych nie będą mieli.

– Przecie... – nalegano.

– Powiadam wam, wjechało kilkunastu powszednio odzianych, a na ich czele jakiś, co wyglądał raczej na pacholka.

– Eee?

– Przecie spodziewano się znakomitych gości? – ktoś zapytał.

– Juźci, nie tylko że był mizernie odziany, ale dałbym szyję, że to młokos jakiś – upewniał Fals.

– Ba, toć Zakon na młodych łasy! – rzucił ktoś ze słuchających.

– Młodych, ale i możnych – dodał inny.

– Może to jakiego Polaka lub Litwina przywiedli? – rzucono domysł.

– A może królewskiego lub książęcego syna wzięto z Polski w niewolę? – rzucił Fals z tajemniczą miną.

I na tym tle poczęto snuć rozmaite domysły. Nawet Biber mówił swoim nosowym głosem:

– Nie chybi, jeno król polski dowiedziawszy się, że mistrz nasz szykuje nań nową wyprawę, przysłał jednego ze swoich, żeby zawrzeć ugodę.

– A że przeczuwają, że bez okupu najprzewielebniejszy mistrz Ulryk nie zaniecha wojny, przysłali umyślnie biednie odzianych, żeby jak najmniej powinnej daniny zapłacić... Oho, znam ja ich! – dodał z pewną niechęcią.

– I ja ich znam – ozwał się jakiś przyciszony głos spomiędzy pachółków.

Ale głos ten brzmiał butnie i wcale nie był podobny do lekceważenia.

Zawód

Tymczasem jeden z owego niepokąźnego pocztu szedł śmiało do głównej sieni zamku, nie pytając zgoła nikogo o pozwolenie.

Śmiałość, z jaką sobie poczynął, torowała mu drogę, na podsieniu dopiero zastąpił mu Frydrych von Ulmen, który, jako marszałek dworu wielkiego mistrza, miał obowiązek spotykać przybyłych gości i o ich przybyciu wielkiemu mistrzowi oznajmiać.

Niepozorna odzież wchodzącego na podsienie, jako i poczet, stojący w głębi podwórca, wywołały nie tylko zdziwienie na oblicze Frydrycha, ale wprost niezadowolenie, a nawet zgrozę, że śmiałek wchodzi samopas w uprzywilejowane podwoje. Zmarszczył więc Frydrych brwi krzaczaste i już miał wybuchnąć gniewem, gdy przybyły oddając dworny, rycerski ukłon, rzekł coś przyciszonym głosem.

Wymówione wyrazy podziały jak dotknięcie czarodziejskiej różdżki. Twarz Frydrycha rozpogodziła się, groźne spojrzenie zamieniło się w błysk oczu radosny. Spod rudego zarostu wyjrzał uśmiech pełny uprzejmości. Słowem, cała postać zacnego marszałka oznaczała wielkie zadowolenie, jak gdyby nagle padł promień słońca, rozjaśniający zasnute chmurami przestworze. Zgiął też w ukłonie swą potężną postać, z tym ukłonem zbiegł szybko ze schodów podsienia i skierował się wraz z przybyłym ku niewielkiemu, szczupłemu rycerzowi,

który nie zsiadając z konia, w otoczeniu swego nielicznego orszaku rozglądał się po obszernym podwórku i przypatrywał grubym, wspianiałym murom krzyżackiej siedziby.

Frydrych, idąc śpiesznie, nie zapomniał zadać w niewielką trąbkę wiszącą mu u pasa.

Głos rozszedł się przenikliwym, donośnym dźwiękiem; tak donośnym, iż dziwić się należało, że tak mały instrument wydawał tak przeraźliwe, długo nie milknące brzmienie.

Głos trąbki rozległ się po całym podwórku, w najodleglejszych jego zakątkach; przeniknął też znać przez grube mury, bo w wielkiej sali zrobił się rumor i huk jakby przewróconej nagłym ruchem ławy.

To Ulryk von Jungingen w swojej własnej osobie na dosłyszany dźwięk trąby marszałka wstawał z swego wywyższonego siedzenia, które przewrócił na kamienną posadzkę wielkiej sklepionej sali.

Ci, co byli bliżej, spojrzeli po sobie, a sędziwy Henryk Leuchter, komtur Elbląga, siedzący najbliżej mistrza, szepnął do swego sąsiada, Antona Ludwigsburga:

– Nie szczęści się dziś wielkiemu mistrzowi: przed chwilą oderwało się ucho od pucharu, gdy go niósł do ust, teraz przewrócił się jego stolec mistrzowski.

– Zły to omen, zły – mruknął Anton.

Dalej siedzący nie zwrócili uwagi ani na dźwięk sygnału danego przez Frydrycha, ani na przewrócenie się ławy mistrzowskiej, ani na opuszczenie przez niego biesiady,

wszyscy bowiem byli zajęci wypróżnianiem wielkich pucharów i rozmową o wielkiej wyprawie, jaką mistrz Ulryk przeciw Polsce obiecywał.

Ku temu właśnie zaprosił liczne grono rycerzy, przedstawił swoje plany posunięcia swoich granic na wschód, a ku temu wojnę z Władysławem Jagiełłą. Mówił też wciąż przybyłym:

– Polska to kraj ludny i bogaty, ma dzielnych wojowników; prócz więc sławy z ich pokonania, weźmiemy łupy w ludziach, rzędach, koniach i rozmaitych bogactwach.

„A też i ziemi można będzie szmat sobie uszczknąć” – myślał niejeden z niemieckich rycerzy, mający tak niewielką jej ilość, że częstokroć na wyżywienie przybocznego orszaku i psiarni nie wystarczała.

Wielki zaś mistrz, wyszedłszy z biesiadnej izby, na chwilę zatrzymał się w sieni, jakby się namyślał. Po chwili szepnął coś jednemu z pachołków będących zawsze na rozkazy.

Zauważył znać, że spotkanie osobiście przybyłych ubliżałoby jego godności, skierował się do izby sklepionej, wspartej na jednym tylko filarze, imponującej swoją powagą, prostotą i zawieszonymi trofeami zdobytymi na licznych wyprawach.

Tu siadł w głębi na wywyższeniu, kazał na siebie zarzucić płaszcz z białym krzyżem, oparł się na mieczu, przybrał wyraz twarzy stosowny do swojej wielkości i patrząc na drzwi wchodowe, z niecierpliwością oczekiwał przybycia gościa.

Jednocześnie z dziesiątego podwórca wybiegł do furty, przy której widzieliśmy Falsa, młody knecht i ukrywszy się we wnęce

mur, przypatrywał się przybyłym, łowiąc uchem ich rozmowę.

Po chwili potrzęsął głową, westchnął i szepnął w sobie:

– Nie, nie. Nie oni.

Zawrócił do wnętrza swego podwórza i zajął się przerwany czyszczeniem miecza. Na twarzy jego młodzieńczej malowało się uczucie nieokreślone. Był to jakby doznany zawód, a zarazem pewne zadowolenie, z którego młodzian sam sobie może nie umiał zdać sprawy.

Oblicze wielkiego mistrza mieniło się również rozmaitymi uczuciami. Obok wiecznie goszczącej pychy, wypełzała jeszcze chytrość, a zarazem radość z dopięcia wielkiego jakiegoś zamiaru. Układał też znać powitalne wyrazy, bo usta jego poruszały się szeptem, lewa ręka, spoczywająca na poręczy siedzenia, wykonywała palcami najrozmaitsze ruchy, prawą zaś gładził krótką, rzadką brodę lub wyciągał przed siebie, jakby wskazywał ułożone przez siebie plany.

Zajęty tymi myślami nie liczył ubiegających chwil. A ubiegło ich niemało, nim gość zrzucił zbroję i zapyłone drogą obuwie.

Nareszcie Frydrych von Ulmen wszedł i uroczystym głosem oznajmił:

– Jego książęca mość Karol, książę na Niderlandach, Fryzlandii i innych posiadłościach nadmorskich.

Wszedł też zaraz młodzieniaszek o wątlej, lecz szlachetnej postawie. Bez zbroi i hełmu zdawał się jeszcze mniej okazałym, niż gdy siedział na koniu w pełnym rynsztunku. Twarz szczupła, blada, nie ozdobiona jeszcze zarostem, długie, jasne włosy,

wejrzenie błękitnych, łagodnych oczu dawały mu pozór raczej natchnionego trubadura niż rycerza.

– Witaj, Karolu, księżę Niderlandów i Fryzlandii. Witaj, najdostojniejszy a dawno oczekiwany gościu – ozwał się Ulryk, szukając wzrokiem przybyłego.

Odległość bowiem, w jakiej stanął, i wyniosłe sklepienie izby czyniły go jeszcze mniejszym i niklejszym.

Frydrych, mimo odległości, na jakiej znajdowały się drzwi wchodowe od wielkiego mistrza, uchwycił bystrym okiem wzrok jego, uśmiechnął się też ironicznie, jakby chciał powiedzieć:

– Ów najdostojniejszy wygląda raczej na pacholka niż na udzielnego księcia ziem rozległych.

„A może to i dziedzictwo podobne do osoby?” – pomyślał w sobie.

Karol zaś posuwistym krokiem, dotykając kamiennej posadzki lekkim obuwiem z nadto długimi, spiczastymi nosami, zbliżył się do wielkiego mistrza, a przyłożywszy prawą dłoń do serca, skłonił się dwornie i mówił:

– Składam należny hołd wielkiemu mistrzowi, a Zakonowi całe moje dziedzictwo i wszelką majątność, błagając waszą miłość o przyjęcie mnie do Zakonu i policzenie między rycerzy krzewiących wiarę świętą i stających w obronie krzyża.

– Życzenie wasze, najmiłościwszy księżę, będzie spełnione, lecz nim odbierzemy przysięgę i pasować was będziemy na rycerza, rozgoście się w naszej ubogiej siedzibie i odpocznijcie po trudach podróży.

– Podróż mnie nie umęczyła. Chęć jak najszybszego otrzymania z rąk waszych prawa służenia w obronie krzyża Chrystusowego i pokonywania niewiernych dodawała mi siły i niweczyła wszelkie trudy – mówił młodziutki ksiązę z zapalem, wznosząc oczy ku wysokim sklepieniom izby, jakby szukał tam znaku, w którego obronie pragnął walczyć.

Lecz sklepienie wiążąc misternie zakończone łuki, przedstawiało jeno chłodną potęgę, nie dając żadnej otuchy, przeniósł więc wzrok na wielkiego mistrza i spotkał się z krzyżem czarnym, nakreślonym na jego płaszczu. Pierś młodzieńca podniosła się westchnieniem, Ulryk zaś mówił z pobłażliwym uśmiechem:

– Wszystko jest przygotowane na tę wielką uroczystość. Wszelako musicie, najmiłościwszy ksiązę, zapal wasz powstrzymać, póki nie zwołamy rady i dostojników, ażeby byli przytomni waszej przysiedze i pasowaniu na rycerza Zakonu – zakończył wielki mistrz z wielką godnością, dając jakiś znak porozumiewawczy swemu marszałkowi.

Ten, postąpiwszy kilka kroków, skłonił się przed gościem i rzekł:

– Pozwoli wasza ksiązęca mość, że mu wskażę jego siedzibę. Karol westchnął poddając się wyrokowi przysłego przełożonego. Skłonił przed nim głowę i cofając się wyszedł do obszernej sieni.

Frydrych powiódł go po szerokich kamiennych schodach, a otworzywszy zaraz pierwsze drzwi na prawo, rzekł z ukłonem:

– Oto jest mieszkanie waszej książęcej mości... – I zatrzymawszy się nieco, dodał: – Protektora i przyszłej ozdoby naszego zakonu.

Znalazłszy się jednak za drzwiami, uśmiechnął się sam do siebie, splunął i rzekł:

– Na pozór niewart garści kłaków!

Ulryk po odejściu gościa wykrzywił również pogardliwym uśmiechem swe szerokie oblicze, rzucił płaszcz stojącym za jego plecami pachółkom, a idąc ku drzwiom leniwym krokiem, myślał:

„Śmierdziel, gołowąs... Chociaż z książąt panujących, diabli wiedzą, co z niego za pożytek i co pod tą układną postacią kryje...”

Zastanowił się chwilę i miał wyjść z komnaty, zawrócił ode drzwi i szedł na powrót wolnym, ociążalym krokiem, jakby się nad czymś namyślał.

Mówił też w sobie:

„Myślał, że zaraz zaczniemy psalmy śpiewać. Cóż on sobie myśli, ten chłystek, że jesteśmy pustelnikami lub klechami, odprawiającymi wieczne praktyki? Ale mniejsza o niego. Jeżeli zrzecze się swego dziedzictwa, przybędzie nam duży szmat ziemi nad morzem, otworzy drogę na zachód i da nową podstawę potędze naszego zakonu” – zakończył.

I szybkim już krokiem opuścił komnatę.

W sieni znów się zatrzymał nasłuchując, czy go jakie słówko nie dojdzie z biesiadnej komnaty. Lecz dochodziły go tylko

pijane, chrapliwe, zmieszane w jeden wielki gwar okrzyki.

– Piją, niech piją! Wkrótce żłopać będą krew polską! Weźmiemy obszerne ziemie i zdepczemy tego dumnego polskoliteńskiego króla, a całe to podłe plemię u stóp swoich ujrzymy!

To mówiąc, uderzył nogą o kamienną posadzkę, jakby już widział tysiące głów schylonych przed sobą i na ich karkach stawiał ciężką swą krzyżacką stopę. Po czym zamienił słów kilka z powracającym od dostojnego gościa Frydrychem, przy czym obaj rozchodząc się w dwie różne strony, mieli wielce pogardliwe, pełne niezadowolenia oblicza.

Tymczasem młodziutki książę na Niderlandach i Fryzlandii, rozejrzawszy się po komnatach oddanych mu przez Zakon, rzekł do oczekującego nań Bonifacjusza z Groning, wiernego sobie piastuna i opiekuna:

– Nie zaraz odbędzie się tyle przeze mnie upragniona uroczystość.

– To dobrze. Wasza miłość zmęczony. Przed tak ważnym krokiem trzeba wypocząć... i... ostatecznie rozważyć... – rzekł Bonifacjusz.

– Och, wiesz dobrze, stary i jedyny przyjacielu, że wszystko już dokładnie rozważył – odparł książę.

I stanął we wgłębieniu wąskiego okna. Okno to wychodziło na dziesiąty podwórzec. Książę rozglądał się, chcąc nasycić się widokiem wielkości i potęgi Zakonu, którą znać było w grubych niezwykle murach zamku, licznych podwórcach, zaułkach, kręcącej się wszędzie służbie, z dala widniejących nasypach

i fosach okalających tę wielką obronną siedzibę krzyżacką. Ale znać to wszystko nie zadowalało przybyłego rycerza, wzrok jego bowiem na żadnej z tych oznak krzyżackiej potęgi dłużej się nie zatrzymał.

Słońce czerwcowe ozłacało grube mury, kładło wielkie złociste plamy na podwórcach, wdarło się nawet we wgłębienie wielkiego okna i ozłociło jasną głowę zamyślnego Karola.

A on, jakby niezadowolony z widoku, z jakąś nudą czy zawodem na twarzy patrzył i patrzył, przenosząc wzrok z murów i wież obronnych na fosy i nasypy, to znów na ludzi krzątających się i przenoszących wyczyszczoną broń, mieniającą się i lśniącą, przerażającą swoją ostrością. I miasto⁴ zadowolenia z osiągnięcia upragnionego zamiaru, coraz więcej na jego młodzieńczym obliczu siadało rozczarowania. Nagle wzrok jego się rozjaśnił. Rozjaśnił i spoczął na ramieniu krzyża pławiącego się w krwawozłotym świetle zachodu słońca. Księżę wyciągnął ku upragnionemu godłu dłonie, a usta jego z wielką gorącością szepnęły:

– Pod godłem twoim, o Chryste, pragnę walczyć i cześć męki twej i nauki szerzyć!

W tej chwili rozległ się dzwon. Dzwon gruby, chrapliwy, nie przynoszący ukojenia i błogości, lecz rozkaz.

Ludzie na ten głos, pełni radości i śmiechu, gwałtownym ruchem zbierali oczyszczoną broń, rozwieszoną na długich drągach odzież, rzędy na konie, zataczali walce, którymi

⁴ *miasto* (tu daw.) – zamiast. [przypis edytorski]

równali ziemię podwórca, wyprzęgali konie; słowem, kończyli pospiesznie całodzienną pracę.

Nie widać było wszakże skupienia, wzniesienia się ducha i ciszy, jakie, według młodego księcia, głos dzwonu powinien był wywołać. Owszem, przytłumiony gwar i śmiechy wznosiły się z każdego zakątka, rozbijając się chrapliwym echem o potężne mury zamku.

Lecz młody przybysz wciąż nasłuchiwał, rozchylone jego usta czekały jakiegoś dźwięku, który mógłby się połączyć z głosem wychodzącym z jego piersi przepełnionej wielką ekstazą. Wtem miasto owego głosu doleciał jego uszu śmiech, śmiech chrapliwy, pijany, dochodzący z wielkiej biesiadnej sali. Młodzieniec ze wstrętem cofnął się we wgłębienie okna, a dojrawszy stojącego opodal Bonifacjusza, z dziecięcym uczuciem padł na jego piersi, jakby chciał na nich uchronić się od coraz chrapliwiej rozchodzących się głosów.

Stary przyjaciel, który wciąż patrzył na stojącego w oknie księcia, jakkolwiek nie widział twarzy swego ukochanego wychowańca, domyślał się snadź jego uczuć, bo objąwszy go ramieniem, koił jak matka dziecię doznające jakiegoś straszego zawodu.

Jednocześnie spod muru podwórca odchodził młody knecht krzyżacki, wlokąc za sobą miecz ciężki, przez długi czas w stojącego w oknie gościa wpatrywał się ciekawie. Odchodząc zaś, szepnął znów sobie:

„Nie, nie! Ale kto to?...”

Uroczystość

Karol von Leuwarden był po kądzieli potomkiem Karola Wielkiego, pochodził z linii burgundzkiej i miał prawo do Niderlandów i Fryzlandii. Zatargi wszakże, jakie podczas jego małoletności w tych krajach panowały, zatruwały mu życie i zniechęcały do rządów wśród bezustannej walki z innymi książętami. Doszedłszy lat szesnastu, to jest wieku, w którym panujący uznawani są za pełnoletnich, postanowił poświęcić się życiu zakonnemu. Że zaś w owym czasie sława Krzyżaków, rozgospodarowanych nad Wisłą, szeroko na całym zachodzie rozbrzmiewała, jako pogromców pogan, postanowił zapisać się do tego Zakonu.

„Służyć Bogu, a zarazem być rycerzem, to najszlachetniejsze powołanie – myślał sobie młody entuzjasta. – Niech Zakon weźmie wszystkie moje ziemie i bogactwa, niech ich użyje na rozkrzewianie wiary świętej” – myślał dalej marzyciel.

I nosząc się z tymi myślami, wysłał z oznajmieniem swych zamiarów do Malborka. Że zamiary te były nader skwapliwie przyjęte, widzieliśmy z gorącego oczekiwania tak hojnego gościa. Przybywał on właśnie w chwili, gdy Ulryk von Jungingen zgromadził liczne rycerstwo i wybierał się na podbój ziem Polski.

„Te ziemie, leżące na południe od ziem naszych, rozciągające się po obu brzegach Wisły aż do jej źródła, z prawa nam się należą – myślał Jungingen. – Nie rozumiem nawet, czemu

poprzednicy moi pozwolili wrogim nam plemionom lackim na tych ziemiach się rozpanoszyć. Czemu bawili się w jakieś układy – myślał dalej z oburzeniem. – Było to niedołęstwo Zakonu. Tak, niedołęstwo. Do mnie należy ten wielki błąd ich naprawić – zakończył z silnym postanowieniem, uderzając nogą w posadzkę, według swego zwyczaju. – Po zawojowaniu ziem polskich z Litwą łatwo się uporamy. Gdyby nie Jagiełło, ten polsko-litewski władca, ta kukła w rękach swych doradców, dawno bym się z Witoldem uporał i Litwę miał pod swoimi stopami – myślał znów po chwili. – Szczęście samo nam w ręce wchodzi – mówił dalej sam w sobie. – Kraje nadmorskie z Fryzlandią otwierają nam handel, a z nim panowanie nad zachodem. Prawda, między naszymi posiadłościami nad Wisłą a Niderlandami jest jeszcze szmat ziemi, ale i temu się poradzi... Pomorze, Świecie – nasze. Ludy, dzielące nas od Niderlandów, same z siebie muszą potędze naszej ustąpić”.

– I to wszystko Zakon mnie zawdzięczać będzie, mnie, Ulrykowi von Jungingenowi! – mówił, wskazując dłonią na piersi, podnosząc głowę i prostując swą rozrosłą postać. – Imię Ulryka von Jungingena słynać będzie po całym świecie, a sława moja daleko w przyszłość zasięgnie.

– Wszystko już do uroczystości przygotowane, radni Zakonu, a też rycerze cudzoziemscy zasiedli już ławy w kościele, oczekują jeno ukazania się waszej miłości – przerwał te rozkoszne marzenia głos marszałka.

Ocknął się z swych marzeń Jungingen, ocknął z pewnym

niesmakiem. Sarknął nawet:

– Ach, ten mydłek, śmierzdział! Będzie nas zanudzał swymi ascetyczno-rycerskimi pragnieniami. No, ale i z nim się prędko uporamy. Od czegoż wojna z Polską! – zakończył.

I przyoblókłszy oblicze w stosowny do okoliczności wyraz, szedł śpiesznym krokiem przez długie krużganki, łączące zamek z kościołem.

U wejścia czekało na niego sześciu urzędników, niosąc tarczę, buławę zakończoną krzyżem, czapkę w kształcie hełmu i płaszcz biały, odmiennego od innych kroju. W tym otoczeniu przeszedł przez kościół z stosownym wyrazem twarzy. Na lekką, krótką zbroiczkę zarzucono mu płaszcz, oddano berło, postawiono tarczę i Ulryk zasiadł na miejscu dla wielkich mistrzów przeznaczonym, miejscu, na którym od lat trzech, to jest od chwili swego obioru, jeszcze nie siedział.

Blade światło lampek i świec woskowych, rozstawionych na ołtarzu świątyni, gasił złoty promień czerwcowego słońca, wdzierający się przez wąskie okna.

Twarze wysokiej rady Zakonu, najznakomitszych komturów, jako i twarze rycerzy, nie wypoczęte jeszcze po długiej w noc pijatyce, nie mogły się również dostroić do uroczystości. Przedstawały nudę. Usiłowanie pokonania rozszerzających się ust do ziewania wprawiało lica w jakiś skurcz, nadając im wyraz wprost wstrętny.

Niejeden też pytał ze zdziwieniem:

– Co to za uroczystość?

– Miał nas prowadzić po zdobycze, a wprowadza do ubogiej świątyni.

– Nie przybyliśmy przecie, aby być świadkami obłóczyn zakonnika!

Szemranie to było uzasadnione.

Nie tylko bowiem cudzoziemscy rycerze, lecz żaden z braci, żaden z wysokich urzędników Zakonu nie pamiętał takiej uroczystości. Wstępowali do Zakonu na mocy krótkiej przysięgi, a raczej zobowiązania. Przyjmowano każdego, kto się wielkiemu mistrzowi wydawał, że będzie dla Zakonu pożyteczny. Swoboda zaś obyczajów, życie dostatnie, częste walki i łupy pociągały tłumy ludzi, po największej części Niemców, szukających w owym czasie przygód, a nie przebierających w środkach ich znalezienia.

Przysięga, wprowadzona po wojnach krzyżowych podczas powstawania Zakonu w XII wieku, została zupełnie zaniechana. Zresztą, nie było teraz prawie rycerzy-zakonników służących Najświętszej Maryi Pannie i świętemu Jerzemu, byli tylko rycerze Zakonu, noszący godło krzyża, rozgłaszający szczytne powołanie jego obrońców. Uroczystość tę Ulryk postanowił wznowić: raz, że widział w młodym księciu odmienną od wszystkich naturę; po wtóre, iż z odebraniem przysięgi utrwali panowanie nad przyobiecany miu ziemiami.

Ten zaś, dla którego tę uroczystość urządono, gotował się do niej z całą gorącością i zapałem młodzieńczym. W tej właśnie chwili siedł w otoczeniu urzędników Zakonu i komturów, obok

niego szedł komtur z Elbląga, Henryk Leuchter. Siwy był i znać na barkach jego dużo już lat spoczywało. Przypomnił sobie chwilę, kiedy mając lat czternaście, był główną osobą takiej uroczystości, i twarz jego przybrała jakiś błogi wyraz, który wszakże znikł w tej chwili, a dziwny, nieokreślony uśmiech siadł na jego pomarszczonym obliczu. Spojrzał spod oka na idącego obok młodzieńca i jeszcze więcej się uśmiechnął.

Szli przez dziesiąty podwórzec, który łączył zamek z kościołem. Knechci pod dozorem Bibera, w odświętnych niebieskich kaftanach z krzyżem czarnym wyszytym na piersiach, stali w dwóch szeregach, między którymi młody książę przechodził.

Najciekawszym wszakże okiem wpatrywał się w niego młody knecht, który tak się zapomniał, że wystąpił z szeregu, aby się lepiej gościowi przypatrzeć.

– Jakub! – rozległ się gromiący głos Bibera, a Fals, będący najbliżej, uszczypnął go przez bufiasty rękaw kaftana.

Ale Jakub, jakby nie słyszał i nie czuł danego znaku, jeno wyciągnąwszy szyję, zawiesił wzrok swój na twarzy młodego księcia. A wzrok to musiał być wielce natarczywy, bo Karol podniósł oczy i spotkał się z wejrzeniem knechta. I oto dwaj młodzieńcy zajmujący tak różne stanowiska uśmiechnęli się do siebie przyjaźnie.

Książę wczoraj już zauważył wlepiony w siebie wzrok młodego knechta, a znać twarz ta zrobiła na nim miłe wrażenie, bo dziś powitał ją jak znajomą.

Knecht zaś, stanąwszy na swym miejscu, szepnął znów swoje:
– Nie, nie!

I odetchnął, jakby mu kamień spadł z serca. Wtem ozwały się dzwony. Najpierw jeden, zwykły, zwołujący na nabożeństwo, potem po kolei odzywało się coraz więcej. Spiżowe tony przepełniały przestworze, strasząc lud, gęsto koło zamku i miasta Malborka osiadły. Dzieci, miast wybiec na drogę na odgłos tych dzwonów, tuliły się do matek, a ludność cała chyłkiem zamykała wrota, kryjąc się do swoich siedzib.

Dźwięk tych dzwonów wywarł również nieokreślony lęk na tego, którego uroczystość ogłaszały. Młody książe, wszedłszy do kościoła, nie doznawał tego błogiego uczucia, jakiego się spodziewał. Owszem, lękiem i niepokojem zadrgało jego serce. Z tym wszystkim ukląkł na wskazanym sobie miejscu, na wprost wielkiego mistrza, w takiej odległości, ażeby mógł słyszeć jego słowa.

Ulryk zaś pytał:

– Karolu von Leuwardenie, książe Niderlandów, Fryzlandii i wielu ziem nadmorskich, czy pragniesz wejść do przemożnego Zakonu Krzyżaków?

– Pragnę! – odrzekł dźwięcznym głosem młodzieniec.

– Nim wykonasz ostateczną przysięgę, dowiedz się najpierw, jakie są obowiązki wstępującego – ozwał się Ulryk. Po chwili zaś, powiódłszy okiem po zebranych, mówił: – Jeżeli mniemasz mieć w tym zakonie spokojne i przyjemne życie, jesteś w wielkim błędzie, bo właśnie kiedy chcesz jeść, to musisz

pościć; kiedy chcesz pościć, to musisz jeść; kiedy chcesz spać, musisz czuwać; a kiedy chcesz czuwać, musisz spać. Od żadnej też posługi rycerskiej wymawiać się nie możesz, a zawsze iść tam, gdzie ci każą. Musisz ojca, matkę, siostrę, braci, przyjaciół niżej postawić, a spełniać jeno to, czego dobro Zakonu wymaga. Za to wszystko Zakon ofiarowuje ci jeno chleb i wodę, skromny habit i zbroję rycerza i niczego więcej domagać się nie możesz, bo tak twoja osoba, jak i wszelka twoja majątność, jest własnością Zakonu!

Tak rycerze przybyli w gościnę, jak rycerze stowarzyszeni z Zakonem, z wielką uwagą słuchali przemowy Ulryka. Żaden z nich bowiem o tych obowiązkach i ścisłej regule nie słyszał. Po wszystkich też twarzach przebiegło zdziwienie, zastąpione wkrótce szyderczym uśmiechem, przechodzącym w powstrzymywany śmiech, który, zdawało się, lada chwila wybuchnie głośną wesołością. Nawet sędziwy Henryk, komtur ze Świecia, który przez chwilę wrócił myślą do składanej przez siebie przysięgi, nie mógł powstrzymać się od sarkastycznego a pogardliwego uśmiechu.

Ulryk wszakże umiał utrzymać powagę chwili i dalej głosił rotę przysięgi:

– Przynajmniej i ślubuję, że czystość myśli i ciała zostanie jednym z mych przymiotów; będę posłuszny Bogu, a potem mistrzowi Zakonu podług reguły i obyczaju tegoż Zakonu; a chcę być posłusznym i wszelkie jego rozkazy wypełniać aż do

śmierci⁵.

Przysięgę tę powtarzał z wielkim przejęciem młody książę, a obecni szeroko rozwarli oczy ze zdumienia, dając sobie znaki nawzajem, jakby się pytali: co to znaczy?

Jeden tylko Bonifacjusz równie był przejęty, jak i przysięgający. Twarz jego wyrażała boleść, zdawało mu się bowiem, że traci ukochanego wychowanka, którego jak własnego syna umiłował.

Tymczasem przeznaczeni ku temu szatni Zakonu obnażyli prawe ramię Karola, a wielki mistrz uczynił na płask mieczem znak krzyża, mówiąc:

– Oto jesteś prawym rycerzem Zakonu. Używaj tego miecza na pokonanie pogan i wszystkich nieprzyjaciół Zakonu.

Po czym włożono nań zbroję, hełm z kruczym piórem, dano w lewą dłoń tarczę, w prawą miecz, a Henryk Leuchter, jako najstarszy z całego zgromadzenia, wziął go pod rękę i podprowadził do wielkiego mistrza. Ten zsunął mu hełm z głowy, położył dłoń na jego czole, mówiąc:

– Witaj, rycerzu!

Dzwony, które na chwilę umilkły, zagrały znowu drgającym dźwiękiem. Karol, książę na Niderlandach i Fryzlandii, opuszczał świątynię, prowadzony przez samego wielkiego mistrza, z którego ramion włókł się płaszcz biały, czarnym

⁵ *Przrzekam i ślubuję [...] rozkazy wypełniać aż do śmierci* – przysięga, przemowa wielkiego mistrza, jak i ceremonia, wzięte z historii dawnych Prus: *Preussens ältere Geschichte* Kotzebuego. [przypis autorski]

nakreślony krzyżem.

Rycerze cudzoziemscy, jako i rycerze Zakonu przybyli z Marienwerder, czyli Kwidzyna, z Elbląga, Torunia i innych miast, które Krzyżacy na ziemi pruskiej jako swą zdobycz zajęli, opuszczali również tłumnie świątynię. Gwar ich, rozmowy i śmiechy przepełniły wkrótce nie tylko główny podwórzec, lecz i wszystkie jego zaułki.

Gwar ten niemiłe sprawiał wrażenie na młodym adeptcie. Był to jakby zgrzyt zardzewiałego żelaza, kaleczący jego podniosłe uczucia.

Gdy przechodził przez dziesiąty podwórzec, wzrok jego spotkał się znów z wzrokiem młodego knechta, który z jakimś szczególnym wyrazem patrzył na niego, jakby oczekując przyjaznego wejrzenia. I uśmiechnęli się znów obaj.

A był to jedyny uśmiech, jaki przewinał się dnia tego po ustach młodego rycerza.

Kobiałki z jagodami

Jakkolwiek dzwony wielkiej uroczystości w zamku krzyżackim nie czyniły miłego wrażenia, a ludność miejska i okoliczna kryła się, żeby nawet dźwięku ich nie słyszeć, znalazły się wszakże tak odważne istoty, które podszedłszy pod same mury, wsłuchiwały się pilnie, jak gdyby chciały przeniknąć, co dzwony te głoszą.

Były to dwie niewiasty ubrane bardzo biednie, jak w ogóle lud zgnębiony w okolicach Marienburga się odziewał. Szare płótnianki, mocno połatane, nie sięgały kostek, duże biedne chusty na głowie, nasunięte na czoło, były związane tak szczelnie, że zaledwie oczy spod nich wyglądały. Nikt też nie mógł poznać, czy były stare, czy młode, a ruchy ich ocieślały również nie zdradzały wieku. Obie niosły duże, z kory brzezinowej kobiałki, napełnione rumieniącymi się poziomkami. Nogi zaś bose, wsunięte w łapcie z łyka mocno zapyłone świadczyły, iż z daleka przychodzą. Mimo tych ruchów ocieślałych, chwilami szły zwawiej, podsuwały się pod grube mury otaczające zamek, a wtedy postaci ich zgnębione prostowały się, a oczy wpatrywały się śmiało w czerwone cegły, jak gdyby w nich jakiegoś znaku czy otworu szukały. Wtedy można było dostrzec, że jedna była dużo wyższa i już

w podeszłych leciech⁶, druga ledwo z lat dziecięcych w hoże dziewczę rozkwitała.

Okrzyły tak dokoła zamek tuż nad samą fosą, czasem chwyciły się za ręce, podtrzymując wzajem, jak gdyby lękały się spaść z wału, i znów przypatrywały się murom.

– Próżna nasza droga. Dziś nic nie wskóramy – szepnęła duża.

– Może chociaż dowiemy się, co te dzwony znaczą – odrzekła druga.

– Czatownik obaczy – ostrzegła pierwsza.

– Nie bójcie się, babo, powiemy, że przynosimy dary dla Zakonu – mówiło dziewczę wesóło, wskazując na króbk⁷ napełnione czerwieniącymi się jagodami.

– Bylebyś jeno srogo nie okupiła zbytnej swojej śmiałości – szepnęła stara.

Wtem dzwony umilkły.

– Drugi raz już kołyszają się i dzwonią. To coś znamionuje. Nigdy jeszcze tak nie było – mówiła dziewczyna.

I obie poczęły nasłuchiwać.

Dzwony przebrzmiały. Cisza zaległa dokoła. Jeno jakies ptaszę cirkowało w uwitym na murze gnieździe, a słońce czerwcowe w całej swojej krasie złociło mury i u stóp ich porastające ziele. Tak zaś ta cisza czy też nadchodzące południe ukołysało wszystkich, że przeszły koło głównej bramy, a czatownik ich nie

⁶ w *leciech* – dziś popr. forma: w latach; tj. tu: w podeszłym wieku. [przypis edytorski]

⁷ *króbka* (daw.) – koszycek, łubianka. [przypis edytorski]

sposzrzegł.

Wtem głośny rozgwar wypełnił przestworze. Zmieszane głosy, śmiechy wznosiły się jak tuman, przedzierając grube mury.

Kobiety wstrzymały oddech, żeby cośkolwiek z tego gwaru uchwycić. Nic wszakże prócz zmieszanych głosów nie dochodziło ich ucha.

– Próżno, uchodźmy, bo jak się wysypie ta gwarna czereda za mury, biada nam będzie – mówiła stara.

– To pewnikiem ci rycerze, co mieli przybyć, tak głośno się zabawiają. Oni nie skorzy za mury – mówiła dziewczyna z taką pewnością, jakby świadoma obyczajów tych, co w zamku gościli.

I z pewnym uporem szła naprzód, nie spuszczać z oczu żadnej cegły u stóp muru.

Baba, chcąc nie chcąc, podążała za nią, zachmurzona była wszakże, a w myśli szeptała:

„Zawsze to było takie przekorne. A niech ją Bóg uchroni od niebezpieczeństwa, jakie od tych zbójów grozić jej może”.

Nagle z bocznej chatowni, wzniesionej tuż przy dziesiątym podwórku, głos gromki się ozwał:

– Hej, wy diable pazury, czego się pod murami włóczycie?!

– Na Belzebuba, toć to niewiasty! Gdzie piekło nie może, to te zatyki piekielne pośle! – wrzeszczał na całe gardło chatownik.

– Precz mi stąd, jeżeli nie chcecie, żebym was kamieniami jak psów wygonił! – wrzeszczał dalej.

Obie kobiety skuliły się zaraz i stały się pokorne,

przygnębione, lękliwe, zgoła niepodobne do śmiałych przed chwilą, tak rezolutnie rozmawiających niewiast.

Starsza jednak wzięła na odwagę, podniosła kobiałkę z jagodami i poczęła coś bełkotać. Młodsza tymczasem, otuliwszy się chustą, że jej wcale twarzy widać nie było, skuliła się jeszcze więcej i prawie przysiadła do ziemi.

Głos starej zapewne nie doszedł do czatowni, lecz wzrok Falsa, który w tej chwili straż odbywał, dostrzegł czerwieniące się jagody. Zaświeciły mu się oczy na widok leśnego owocu, nie mógł wszakże z swej wysokości sięgnąć po nie ani też zejść ze swego stanowiska. Krzyknął więc na całe gardło uprzejmiejszym już nieco głosem:

– Poczekaj, stara czarownico! Poczekaj, małzonko najstarszego diabła, więdźmo najśliczniejsza, zaraz ten piękny owoc z twoich czarnych pazurów odbiorę!

Baba zapewne nie dosłyszała tych uprzejmych wyrazów, zrozumiała za to wymowne ruchy Falsa, który spuszczał dłonie ku dołowi, potem je cofał, jak gdyby coś wyciągał, wreszcie rozszerzał ramiona i przytulał je do siebie, jak gdyby ją chciał wraz z kobiałką wziąć w swoje objęcia.

Wrzeszczał też na całe gardło:

– Nie odchodź, nadobna małzonko najstarszego z szatanów, nie odchodź, zaklinam cię na smołę piekielną! Nie odchodź, póki jagody z twych czarnych pazurów nie znajdą się w moich dostojnych rękach. Potem niech cię piekło pochłonie! – dodał z humorem i odwrócił się w głąb podwórca.

Przechodził właśnie Jakub, począł więc Fals do niego:

– Bracie, ozdobo wszystkich knechtów, skocz przez ukrytą furtę i odbierz dwom wiedzmom jagody, z którymi się przywlokły pod same mury!

Jakubowi oczy zabłyśły i twarz cała się rozjaśniła, odkrzyknął wszakże:

– Miłuję cię, Falsie, jak własne oko, ale gdy kto dojrzy, że się wychyłam za furtę!...

– Nikt nie dojrzy! – przerwał czatownik. – Biber z innymi zabawia się przy misie i konwi, kiedy my dwaj skazani jesteśmy na głód i pragnienie! Ty, jako najmłodszy, czekający swojej kolei, a skracający sobie czas zamiataniem podwórca, ja, jako wielki dostojnik czuwający nad bezpieczeństwem całego zamku! – wrzeszczał dalej Fals, wychylając się przez drzwi czatowni.

Jakub wcale się nie kwapił ze spełnieniem żądania, owszem, potrząsał głową, wciąż odkrzykując:

– *Nein, nein, kann nicht*⁸!

Lecz oczy coraz jaśniej mu błyszczały chęcią spełnienia tego rozkazu.

Fals wrzeszczał i nalegał, zaklinając go na wszystkie pożądane przez knechtów uciechy, dając przy tym nader wymowne znaki.

– Gdyby kto spostrzegł, powiem, żem dojrzał skradające się wiedzmy i ciebie jako najodważniejszego z odważnych wysłał dla wyłomotania im skóry! – wrzeszczał dalej czatownik.

Czy pochlebstwo podziałało na Jakuba, czy też inny jakiś

⁸ *nein, nein, kann nicht* (niem.) – nie, nie, nie mogę. [przypis redakcyjny]

powód przeważył, dość że nie oglądając się na nic, śpieszył w stronę ukrytej furtki.

– A nie połknij jagód wraz z kobiałką! – rzucił za nim Fals, oblizując się zawczasu na tyle pożądane przysmaki.

Odwrócił się też zaraz i wzrok łakomy posłał za mury.

Kobiety tymczasem, siedząc przytulone do siebie, zgarbione, w postaci lękliwej, naradzały się znać z sobą, co dalej czynić.

– A jak mi cię porwą wraz z jagodami? – mówiła stara.

– Nie bójcie się, nie bójcie! Chłopaka wzięliby, ale dziewczkę...

I wzruszyła ramionami.

– Oj, Salo, Salo, nie wiesz sama, co pleciesz – rzekła stara, przygarniając dziewczynę, jakby ją chciała uchronić przed niebezpieczeństwem. – Te przekłete Krzyżaki na wszystko łakome.

– To był jeno czatownik, nie żaden rycerz, a ten chyba na jagody się złakomi – przerwała Sala.

– To i co, jagody zabierze, da nam po karku, naszturcha i tyle! Nic nie wskóramy! – perswadowała stara.

– Toć krzyknął, żeby poczekać. Pewnikiem przyśle kogo po jagody, może nam się uda dowiedzieć, co znaczą te dzwony. A może...

Furta tak szczelnie była przywarta i tak cicho się otwierała na wgłębionych w mur zawiasach, że jeno ten mógł wiedzieć o jej istnieniu, kto był świadom wszelkich arkanów przez Krzyżaków wymyślonych. Na zewnątrz murów nikt nie dostrzegł najmniejszej szczeliny, ba, nawet kreski na murze, a i wewnątrz

obce oko próżno by jej szukało.

Na widok knechta Sala krzyknęła i poczęła biec, potykając się, kulejąc i kołyszając w niezgrabnym chodzie. Dziw jeno, że miasto⁹ uciekać w przeciwną stronę, zbliżała się ku niemu, jakby straciwszy głowę z wielkiego lęku.

Stara podążała za nią również niezgrabnym, niedołącznym krokiem.

Jakub tymczasem z wielkim zamachem schwycił kobiałkę z jagodami, szepcząc jednocześnie:

– Udawaj, że nie chcesz oddać, ja cię będę rzekomo walił w kark i szamotał.

Zaczęła się więc szarpanina dwóch kobiet z knechtem, który zamierzając się udawał, że z całej siły okłada pięścią to jedną, to drugą. Tak okładając mówił:

– Książę niderlandzki składał przysięgę na rycerza. Darował im swe ziemie. Dzwony to głosiły. Z naszych nikt nie przybył. Zakon szykuje się do wojny z Polską. Lada chwila wyruszą. Chciałbym, by i mnie wzięto. Moc ogromna rycerzy. Moc broni, koni. Pewni są zwycięstwa. Wiozą okowy, pęta. Mówią, że zabiorą moc ludu i ziemi. Trzeba naszych sił wiele.

– Kiedy wyruszają, jaką drogą? – pytała stara.

– Nie wiem, ale wkrótce. Jutro pono przednie straże mają wyruszyć, wkrótce rycerstwo. Ach, jakżebym chciał, żeby i mnie wysłano! – mówił gorączkowo, spuszczając rzekomo pięść na plecy Sali.

⁹ *miasto* (tu daw.) – zamiast. [przypis edytorski]

– Za trzy dni będziemy o świcie – szepnęła Sala.

– Przy której furcie? – rzekła stara.

– Pięćdziesiąt kroków od tej, cegła z białym brzegiem, naprzeciw dębu – odszepnął knecht.

Niepotrzebnie wszakże szeptali, bo choćby słyszał kto zza muru, nie rozumiałby ich mowy.

Podczas tego Jakub wciąż szarpał się z kobietami, te się broniły, wieszając u rąk jego. On zaś uderzał to jedną, to drugą, opowiadał o wszystkim, co się działo w Zakonie, co jego uszu doszło, i to, co widział i słyszał podczas dzisiejszej uroczystości.

– Synu, pamiętaj, coś winien ojczyźnie! Noś skórę wilczą, wślizguj się jak wąż, dowiaduj, a sercem bądź tym, kim być winieneś – szeptała stara.

– Nie bójcie się, pamiętam przelaną krew ojca, krew mego narodu!

– Jest nas tylko dwoje. Na nas ciąży cały obowiązek – szeptała Sala, czepiając się rąk knechta.

Ten wszakże, nie chcąc przedłużyć swego pobytu za murami, szepnął teraz:

– Trzeba o niebywałej sile krzyżackiej naszych jak najprędzej powiadomić.

I ostatnim wysiłkiem wydierał kobiałki.

Kobiety oddały je wreszcie, on zaś uderzył jedną i drugą w kark, te powaliły się na ziemię, jęcząc wniebogłose. Na zakończenie kopnął je nogą. Obie staczały się po gładkiej murawie wału. Jakub zabrawszy kobiałki wracał śpiesznie tąż

samą ukrytą furta.

Gdy znalazł się w podwórku, z wielkim triumfem i ożywieniem pokazał oczekującemu Falsowi swą zdobycz. Niebawem obaj siedząc w czatowni, raczyli się smacznym owocem.

– Te więdźmy, to prawdziwe czarownice! Tfu! – mówił Jakub, spluwając. – Najwidoczniej mają jakąś nieczystą w sobie siłę. Ledwie je zmógł!

– Ba, jak czarownice – rzekł Fals z przekonaniem, pakując do ust całą garść jagód. – Ale się broniły, no! Myślałem, że im nie podołasz! – dorzucił.

– Eh, toćem nie ułomek! Ale tak się mnie czepiły na wszystkie strony jak pijawki, a gadają tak, że nic zrozumieć nie można.

– Ba, zwyczajnie, polskie świnię. Toć ich tu jeszcze pełno po wsiach – mówił Fals z pogardą.

Jakub haniebnie się w tej chwili skrzywił i splunął gwałtownie. Ale zaraz rzekł:

– Znać w jagody jakiegoś robaka wsadziły.

– Cha! cha! cha! To umyślnie dla ciebie! – zaśmiał się Fals. – Nie jedz już, bracie, nie jedz. Ostaw resztę dla mnie! – śmiał się dalej czatownik, wysypując resztę jagód z kobiałki do szeroko rozwartej gęby.

Zapach jagód rozszedł się po czatowni, ale Jakuba woń ta nie nęciła. Wciąż spluwał, a opuszczając czatownię, zaciskał pięści, jak gdyby chciał nimi kogoś uderzyć.

Zabrał się też zaraz do dalszego zamiatania podwórca, a czynił

to z wielką zaciętością, wywierając złość na miotle, na długim kiju osadzonej.

– O, najdroższe, najpiękniejsze więdźmy, dzięki wam za onego robaka, co go zgryzł wasz pogromca, inaczej byłby mi z pewnością drugiej nie zostawił – mówił do siebie Fals, zabierając się do otworzenia drugiej kobiałki.

Wtem zaroiło się w podwórku wracającymi knechtami. Falsowi przysła znać inna myśl do głowy, bo odstawił kobiałkę, nie tkniętą, i patrzył za mury wzrokiem człowieka spełniającego pilnie swój obowiązek. Po chwili wszedł inny knecht, żeby go zastąpić, i zaraz na wstępie rzekł:

– O, jak tu wonieje!

Fals podetknął mu pod nos zamkniętą kobiałkę, którą poprzednio wraził w pętlę długiego sznura i śmiejąc się zawołał:

– Patrz jeno pilnie w niebo, to ci takie same stamtąd spadną!

Po czym zbiegł prędko ze schodów i skierował się wprost do wychodzącego z izby jadalnej Bibera. Podał mu kobiałkę i rzekł z tajemniczą miną:

– Jakaś więdźma słaniała się tuż pod murami, chciałem ją wziąć na pętlę, ale znać była to czarownica, bo wraziła w pętlę kobiałkę, a sama zniknęła.

Biber wziął delikatnie, z pewnym lękiem, szczelnie zamknięty koszyk, wciągnął w siebie woń z niego uchodzącą i rzekł:

– Coś jakby lasem wonieje!

– I mnie tak za nos chwyciło! – przyświadczył Fals. – Ciekawość jednak, co to takiego? – dorzucił, mrugając oczami.

– Czarownice to tak umieją omamić, nawet wonią – mówił Biber, oglądając kobiałkę.

– Eh, toć wiecie, że krzyż święty wszelką nieczystą siłą odpędza – zachęcał dowcipniś.

– No, tak... – odrzekł Biber z wielką determinacją i powagą, a udając bodaj samego mistrza Zakonu, począł: – *In nomine Patris et Filii, et Spiritus Sancti*¹⁰! – dokończył powstrzymując śmiech knecht.

Biber z pewną ostrożnością rozwiązał łyko kobiałki.

– Jagody leśne, Boga mi, jagody! – zawołał z uciechą, wciągając woń dojrzałego owocu.

– Po samej woni poznałem i dlatego nienaruszone w darze wam przynoszę – mówił Fals, oblizując się łakomie.

– Lepiej, że miasto¹¹ wiedzmy ułowiłeś kobiałkę – rzekł Biber, zapychając usta jagodami.

Fals zaś myślał:

„Lepiej byłbym sam połknął. Ten stary nic mi przecie nie da. Mogłem tak samo mówić: *in nomine* czy jak tam i czary odegnać, boć ten robak, co go połknął Jakub, to pewnikiem czary. Chodzi teraz jak struty”.

W tej właśnie chwili przeszedł koło niego Jakub. Setnie był nachmurzony, patrzył spode łba, zdawał się nikogo nie widzieć, a pięści wciąż zaciskał. Nie rzekł też ni słowa, zerknął jeno

¹⁰ *In nomine Patris et Filii, et Spiritus Sancti* (łac.) – w imię Ojca i Syna, i Duch Świętego. [przypis edytorski]

¹¹ *miasto* (tu daw.) – zamiast. [przypis edytorski]

na zajadającego wonne jagody Bibera i wszedł do izby na południowy posiłek.

„Jemu wciąż się zdaje, że wali czarownice” – pomyślał Fals.

Nie spuszczał jednak z oka Bibera, który, nie bacząc na czary, wyjadał owoc z kobiałki.

„Pożre, Boga mi, pożre, nic nie ostawi” – myślał Fals.

Odchrząknął też i rzekł:

– Zawszeć te jagody od więdźmy pochodzą... A nuż tam, na dnie, są jakie szkodliwe? Toćście jeno z wierzchu je odżegnali...

Biber drgnął i garść jagód, niesioną do ust, w połowie drogi zatrzymał.

– Przewąchałeś co? Możeś umyślnie dał mi zatruty owoc? – mówił przestraszony Biber.

– Nicem nie przewąchał, bom nie wąchał, alem dał do powąchania Jakubowi, ten wciągnął w siebie woń, a że nie była jeszcze odżegnana, chodzi teraz jak otruty. Przyszło mi do głowy, żeście jeno z wierzchu kobiałkę odżegnali, a tam, od spodu...

– Żeby cię, psi synu, z twymi jagodami! – przerwał przestraszony dozorca.

I rzucił kobiałką w dowcipnisia, a sam przeżegnawszy się uchodził śpiesznie.

Ten uchwycił zręcznie kobiałkę. Nieco jagód z niej wyleciało, a knecht usunawszy się we wnękę ściany, wsypywał do ust resztę pozostałych, mlaskając językiem.

Teraz i Biber był markotny. Zapomniał nawet fukać i gderać, szeptał jeno coś pod nosem, spluwał, bo zdawało mu się, że go pali we wnętrzu. Aż Fals zbliżył się do niego z pokorną miną i mówił:

– Nie bójcie się, ojcze, nie zjedliście nic szkodliwego, bo oto dopiero na dnie pod jagodami były dwa czarne robaki, którem zgniótł na krzyż, odmawiając jak wy *in nomine*... Resztę z kobiałki wrzuciłem do dołu, by nieczystości nieczystą siłę strawiły.

Biber zamierzył się na sprawcę jego umartwienia, ale wtem ukazał się jeden z urzędników Zakonu i rozkazującym głosem zawołał:

– Sekretarz wielkiego mistrza kazał się dozorczy dziesiątego podwórca w tej chwili stawić!

Sala i Sienicha

Kobiety podniosły się z ziemi, zataczały się jakby z wielkiego lęku i razów, jakie otrzymały, sił do dalszej podróży nie miały. Oczy im wszakże błyszcząły, a obejmując jedna drugą, rzekomo dla podparcia się wzajem, czuły, że im serce gwałtownie dygocze. Gdy zaś odeszły od wałów ze dwie staje¹², Sala nie mogła powstrzymać swojej radości.

– Widzicie, babo, widzicie, chcieliście już uciekać, a tak nam się udało, jak nigdy!

– Bałam się o ciebie, dziecino, o ciebie... Byleby jeszcze za trzy dni można zasięgnąć języka, a naszym jak najprędzej dać wiedzenie – dorzuciła.

– Ach, ten Kuba, ten Kuba, jak on pociesznie udawał, że wali mnie pięścią, a szeptał: „Bądź spokojna, Salo, baczę na wszystko, co się dzieje w Zakonie, a choćbym miał życie położyć, dam wam o wszystkim wiedzenie”.

– Bóg znać posłał go między te wilki, aby służył narodowi – westchnęła stara.

– Twoja to zasługa, babo – ozwała się miękkiem głosem dziewczyna – odkąd nam go zabrali, ty czuwasz nad nim i nie dałaś mu się zniemczyć.

– On dałby się zniemczyć, on?

¹² *staja, staje* a. *stajanie* – daw. miara długości, w różnych okresach i okolicach licząca od 100 do 1000 m. [przypis edytorski]

– Gdybyś nad nim nie czuwała, kto wie, co by się stało, toć przecie nie miał lat ośmiu, kiedy nam go zabrano. Coś ty użyła, jakich fortelów, by nie zapomniał mowy, a udawał, że jej zapomniał i Niemcom się zaprzedał. Coś ty użyła, wiesz tylko ty i sam Bóg na niebie – ciągnęła dalej Sala, przyciskając ramię baby z serdecznym uczuciem.

– Wszystko mi miłe, zem mojego Kubusia nie tylko od zniemczenia uchroniła, ale i jako węża wyhodowała, a przydatnym dla narodu uczyniła – mówiła stara jakby do siebie.

Sala przycisnęła znów jej ramię i rzekła:

– Jak przez mgłę pamiętam jeno onę chwilę, boćem lat pięciu nie miała, kiedy ojca Krzyżacy zabili, że bronił zamku i nie chciał powiedzieć, jaką drogą poszli Jagiełłowi rycerze, Kubę krzyczącego wniebogłosy zabrali, a matce grozili, że ją ubiją – westchnęła dziewczyna.

– O, pamiętam to dobrze, jakeś ty się za nimi powlokła, jakeś im nadskakiwała, a w domu potem mówiono, żeś Krzyżaków słuźka i że ich na nas naprowadzać będziesz.

– Cicho, cicho, nie wspominaj tych chwil strasznych! – zawołała drżącym głosem stara.

– Pozwól, pozwól, babo, tak mam dziś serce wezbrane, że muszę wszystko wygadać – mówiła Sala. – Jeno matka kochana zawsze powtarzała: „Sienicha swoich nie zdradzi, a że udawała słuźkę Krzyżaków, znać miała w tym myśl jakąś”. I jakby przeczuwając, żeś za Kubusiem poszła, mniej swego jedynaka płakała.

– Wiem to wszystko, wiem – przerwała stara. – A też i to, że prócz Kubusia było tam moc dzieci. Krzyżacy, słysząc moją niemiecką mowę, przychylność udawaną, słysząc wymysły na Polaków i Litwę, a też obietnice, że dzieci na wierne sługi Zakonu wychowam, mojej pieczy te niebożęta powierzyli. Nie ze wszystkimi się tak udało, jak z Kubusiem, nie wszystkim też mogłam ufać, zawszeć przez dziesięć lat coś się tam zrobiło – mówiła dalej jakby do siebie.

– Dziesięć lat. Ale coś ty tam przez te lata wycierpiała! – przerwała dziewczyna.

– Największą męką było dla mnie, żem słyszała ciągle pogrózki i wymysły dla Polski i Litwy. Największym też trudem było powstrzymywanie się, żeby nie wybuchnąć, a krew burzącą się w żyłach przymileniem się i przyświadczeniem powstrzymywać.

Sala z miłością przycisnęła się do jej ramienia.

– Największym też bólem było widzieć zabieranie spod mej opieki dzieci, które psy gończe pędziły, aby im ukryte wśród lasów chaty wskazywały. Spomiędzy tych zabieranych najwięcej było litewskich dzieci, z nimi mogłam się porozumieć, boć mi zostało nieco tej mowy w pamięci. A te biedactwa, poczuwszy dym z ojczystej chaty, pędziły w oczerety i zarośla, naprowadzając na własnych ojców straszego wroga.

Kobieta, znękana strasznym wspomnieniem, zamilkła, a z piersi jej wydarło się głębokie westchnienie. Westchnęła i Sala, a potem rzekła:

– Aż oto przed rokiem zjawiłaś się znów w naszym dworze, przyniosłaś wieść umierającej matce o ukochanym jej synu. A ona cię błogosławiła i oddała twojej opiece i mnie, i jego – dodała.

I znów obie zamilkły.

– Aż oto, gdyś chciała odchodzić, uczepiłam się twojej dłoni, a tyś pozwoliła, żebym poszła za tobą, aby ból serdeczny po matce utulić, brata obaczyć, a podpatrywać wrogów i o ich zamiarach swoim donosić...

– Pozwoliłam, a teraz ciągle to sobie wyrzucam! – odrzekła Sienicha.

– Uspokój się. Przecież opiekun mój a krewniak matki, Jaśko z Tarnowa, pobłogosławił mi i rzekł: „Wszechmocny i wątłej dziewczce doda siły, jeżeli dobrej sprawie chce służyć”.

– Pamiętam to, pamiętam, a jednak...

– Mam też duże porachunki z Krzyżakami – przerwała Sala.
– Zabili ojca, zabrali brata, matka z tęsknoty życie skończyła, zamek zrabowali, lud z Bobrownik srodze uciemieźali, do mnie więc należy wszystkich sił użyć, by na każdym kroku przeszkadzać im do dalszych zaborów – mówiła z zapalem dziewczyna.

– Wiem to wszystko, wiem, ale to nad siły słabej dziewczyny.

– A ty, babo, a ty? Przecież i ty od najrańszej młodości stanęłaś do walki z wrogą nam potęgą.

– Niech cię Bóg uchowa, żebyś miała doznać tego, co ja doznałam – westchnęła Sienicha.

– Pozwoliłaś pójść z sobą, a teraz zniechęcasz.

– Boga mi, nie zniechęcam, jeno drzę, żeby cię w swoje szpony te wilki nie dostały!

– Nie dostaną. Żywcem nie dostaną! – rzekła z mocą Sala. – Wszak wiesz, co noszę w krzyżyku – dodała.

Obie westchnęły.

– Brata odnalazłam, widywałam go przy twojej pomocy, przyniosłam mu otuchę, a choćem jeno dziewczką, mogę być swoim użyteczna – mówiła dalej Sala.

– Dziewka i siedząc doma może dużo dobrego uczynić, zwłaszcza kiedy zabrakło matki, a jeno Przybora głową całego waszego mienia – rzekła stara surowo. – Zżywasz jeno biedy w moim schronisku i więdniesz jako kwiatek bez słońka – dodała.

– Cyt, cyt, babo! Nie czas na rozczulanie się nade mną, idzie głównie o to, żeby jak najprędzej zanieść do Krakowa wiadomość – mówiła namyślając się Sala.

– Za trzy dni dość będzie czasu – odrzekła stara.

– Za trzy dni może być za późno, drogi będą przez Krzyżaków zalane. Trzeba nam pierwej – nalegała dziewczyna. I po chwili namysłu, ze zwykłą stanowczością rzekła: – Ty ostaniesz, ja pójdę!

Stara aż stanęła ze zdumienia.

– Wiesz przecie, że mam łódź uwiązaną w przystani, że Lutek-niemowa jej pilnuje. Popłyniemy w górę rzeki, a kiedy ty zaledwie dowiesz się o ich wyjściu, ja będę już w Bobrownikach,

a stamtąd pchnę z wieścią do Krakowa o nadzwyczajnych siłach krzyżackich i ich zamiarze wkroczenia do Polski.

– Nie mogę cię wstrzymywać – odrzekła baba. – Kto raz poświęcił się służeniu narodowi, nie może w drodze ustawać.

Zamilkły obie, każda znać zajęta swoimi myślami.

Szły teraz śpiesznym krokiem, nie słaniając się i nie pochylając. Stara o wiele przewyższała wzrostem młodą dziewczynę, miała pewne, energiczne ruchy i nie znać w niej było znużenia i lat przebytych w trudzie, o którym Sala mówiła.

Wydostawszy się spod zamku, szły przez łąkę, na której prócz pastucha i pasącego się bydła nikogo nie było.

W miarę jak się oddalały od miasta i zamku, nabierały pewności. Wkrótce dostały się w zarośla, a nareszcie zginęły w ciemnym, gęsto podszytym lesie. Po uciążliwym przedzieraniu się przez krzaki i zarośla doszły do wzgórza porośniętego puszystym mchem. Pod tym zielonym poszyciem nikt nie domyślał się w nim pieczary, a w niej mieszkania dwóch kobiet.

Znać ustronń ta nie była przez ludzi nawiedzana, bo ptaki nawet nie płoszyły się na widok przybyłych, owszem, nader swobodnie przelatywały z gałęzi na gałąź, cirkając lub głośnie wywodząc trele. Woń leśna przepęłniała powietrze. Słonko miało się ku zachodowi. W lesie mrok był już prawie. Ptaki milkły powoli, rozgwar ich zastępowała cisza wieczorna. Jeno od czasu do czasu las zaszumił, rozpoczynając zwykłą modlitwę wieczorną. Lecz kobiety nie miały czasu weń się wsłuchiwać ni zachwycać pięknnością wieczoru. Wsunęły się w mchy gęste, potem do

ciemnej pieczary.

– Nie wchodzić dalej, póki nie zaświecę! – zawołała Sienicha.

Obracała się też wśród ciemności jak przy najlepszym świetle. Rozgarnęła leżący w kącie pieczary popiół, zapaliła łuczywo od iskier w nim tlejących, suchymi gałęzmi, nagromadzonymi w drugim kącie, podsyciła ogień.

Teraz dopiero Sala znalazła się przy niej. Teraz dopiero po trudach dnia i niepokoju uczuły się głodne i znużone. Przysiadły więc koło ognia. Sienicha przystawiła kociołek z wodą, wrzuciła kawałek wędzonego mięsa, wyjęła zeschnięty chleb z zanadrza i po jakimś czasie zawołała na milczącą, pogrążoną w myślach towarzyszkę:

– Posil się, dziecino. Sił ci potrzeba.

Sala ocknęła się z zadumy i rzekła:

– Potrzeba i mieć je muszę.

Po czym obydwie jadły w milczeniu, od czasu do czasu przyrzucając drewek do tlejącego ogniska.

Gdyby kto spojrział na wnętrze pieczary, byłby się przekonał, że niepłonne były słowa Sienichy, gdy rzekła: „Więdziesz jak kwiatek bez słońca”. Pieczara była wilgotna, chłodem przejmująca, gdzieś widać było na jej ścianach krople wody, które teraz przy świetle ognia migotały jak drogie kamienie. Gdyby też kto widział te dwie kobiety siedzące nad tlejącym ogniskiem, byłby je posądził o odprawianie tajemnych czarów lub składanie ofiar jakiemuś podziemnemu bóstwu. I nie byłby się omylił. Składały rzeczywiście ofiarę ze swoich trudów

dni całego życia, a składały ją na ołtarzu miłości ojczyzny.

Pierwsza zerwała się dziewczyna.

– Dość już wycieczki.

– Dość – powtórzyła baba.

I obie zajęły się przygotowaniem do drogi.

Po północy wychodził z pieczary chłopiec w ubraniu flisaka. Krótki, płócienny spencerek, także sięgające zaledwie do kolan spodenki, na głowie słomiany kapelusz, spod którego wydostawały się krótkie, ciemne włosy, ocieniające twarz i szyję czarną, jakby spaloną od słońca czy też umyślnie pomalowaną. Na kiju przewieszonym przez plecy miał niewielki węzełek jak zwykle chłopak flisaczy. W łapciach ze skóry stąpał pewnym krokiem przez las gęsty, zwarty. Z początku ostrożnie, potem coraz pewniej, nawet z fantazją. Usta rozchylone byłyby może zanuciły piosenkę, nie chciał wszakże budzić mieszkańców lasu. Lecz oni sami się budzić poczęli. Jakiś ptak ocknął się niespokojnym świergotem, inny mu odpowiedział sennie, nieśmiało, jakby przedzwaniając na zwykłą poranną modlitwę. Wkrótce ozwało się kilka innych głosów nieco zdziwionych, potem coraz więcej, coraz śmieiej dzwoniły na ranne pacierze.

Flisak przedzierał się przy tej muzyce, a gdy wychodził z lasu, przedświty wstającego dnia poczęły błąkać się po niebie. Gdy przebywał piaszczystą, nie porosłą ziemiem drogę, na niebie rozbłyskiwała zorza strojna w złotawoczerwone fiolety. Gdy znalazł się nad Wisłą, zorza w całym swym majestacie zaścielała mu drogę, wlokąc swój płaszcz purpurowy po szarych toniach

rzeki. Lutek śpiący w czóźnie tuż nad brzegiem, zbudzony czerwonym blaskiem wschodzącej zorzy, z wielkim zdziwieniem spojrzął na stojącego nad nim flisaka.

Widok jego znać mu był przyjemny, bo zaśmiał się na całe gardło i oczy mu radością zabłyśły.

Chłopiec uśmiechnął się doń dobrotliwie, lecz jednocześnie położył palce na ustach, nakazując milczenie. Potem na migi dawał jakieś znaki, gładząc starego po twarzy, wskazywał ręką przed siebie, to znów rozszerzając ramiona, przytulał je do piersi.

Niemowa znać zrozumiał te znaki, zaśmiał się, a potem całą siłą swych potężnych ramion odepchnął czóžno z przystani gęsto zarosłej łożyną.

Wkrótce czóžno, trzymając się brzegu, puło powierzchnię mętnej wody. Wiatr popychał je w dół rzeki, a prócz ramion niemowy popychały je wiosła trzymane silną dłonią młodego flisaka.

W Bobrownikach

Nie mało dni upłynęło, nim Sala z wiernym sobie niemową do Bobrownik przybyła. Nie mało też znać trudów w tej podróży użyła, bo lica jej teraz nie sztucznie, lecz naturalnie ogorzałe były od słońca. W tej trudnej podróży pomagał im wiatr przyjazny i wzburzone nieco fale rzeki, która zwykle w tym czasie przybiera.

Gdy późnym wieczorem weszła do swej ojczystej siedziby, nikt jej nie poznał. Wzięto ją rzeczywiście za flisaka. Dopiero gdy przemówiła i każdego z osobna nazywać poczęła po imieniu i gdy po odprowadzeniu czółna w bezpieczne miejsce przybył niemowa, poznano w niej dziedziczkę zamku.

Lutek na migi dużo rzeczy opowiadał, śmiał się i cieszył jak dziecko, ze wszystkimi się witał, niewiele sobie jednak z niego robiono, każdy bowiem zajęty był ukochaną przez wszystkich dziewczeczką.

Poczawszy od najniższych, z piekarni, którzy widzieli ją przechodzącą w stroju flisaka, a skończywszy na pełniących służbę w pokojach i tych, co zasiedli z nią do skromnego posiłku, nikt nie mógł myśleć o czym innym, jeno o powrocie młodziutkiej swej pani, która, jak wczesną wiosną, kiedy jeszcze śniegi nie stopniały, nagle zamek opuściła, tak teraz nagle się zjawiała.

– Znać nie mało biedy i trudów podjęła – mówiono. – I po co

jej to, po co?

Posiłek i wypoczynek jej był nader krótki. Zastała bowiem wysłanego przez Jaśka z Tarnowa dworzanina Marka, który miał iść brzegiem Wisły, ażeby o ruchach Krzyżaków języka zasięgnął i z tymi wieściami jak najprędzej do Krakowa wracał.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.